

SARA
ANTCZAK

Książka zdobyła nagrodę publiczności
i wyróżnienie jury na Festiwalu Górkim

L
I
N
A

JEDYNA DROGA UCIECZKI PROWADZI W GÓRĘ

FILIA

SARA
ANTCZAK

L
I
N
A

FILIA

Łukaszowi,
najlepszeemu partnerowi od liny i do życia.
Moim przyjaciółkom: Julii i Pauli.
Moim rodzicom.
Dziękuję za wszystko,
co zrobiliście dla tej książki i jej autorki.

*THERE IS FREEDOM WAITING FOR YOU,
ON THE BREEZES OF THE SKY,
AND YOU ASK „WHAT IF I FALL?”
OH BUT MY DARLING,
WHAT IF YOU FLY?*

– ERIN HANSON

PROLOG

Mikołaj

Zamierzam dziś złamać prawo. Obudziłem się w środku nocy i to była pierwsza rzecz, o której pomyślałem. Zrobić to.

Na placu Społecznym mijam nieruchomy diabelski młyn, najbardziej widoczny punkt wesołego miasteczka. Ten widok przypomina mi dzieciństwo i pierwszy raz, kiedy jechałem kolejką górską. Wagonik pędził po torze, nurkował i zataczał pętle, wszyscy dookoła wrzeszczeli ze strachu, a ja byłem znudzony. Bardzo znudzony. Wisząc głową w dół, wyobrażałem sobie, że zabezpieczenia nagle się podnoszą, a ja rozkładam ramiona i lecę w powietrzu jak ptak. Nie chciałem zginąć. Po prostu zawsze wierzyłem w swoją nieśmiertelność.

To się nie zmieniło.

W radiu leci The Clash. Zaciskam dłonie na kierownicy i wjeżdżam na most Grunwaldzki w rytmie *The Guns of Brixton*. Jest szósta rano, słońce dopiero

wschodzi, oświetla wszystko bladym blaskiem. O tej porze Wrocław jest uśpiony, chodniki są puste, na ulicach niewiele samochodów. Miasto nie odgrywa żadnej roli. Miasto jest tylko scenerią, męczącym tłem. Z jakiegoś powodu ludzie myślą, że to właśnie w wielkich miastach dzieją się ważne rzeczy, ale nie mają racji. Wszystko, co naprawdę istotne, rozgrywa się poza ich granicami, z dala od zabudowań, bez świadków. Miasta są przewidywalne. Kontrolowane. Bezpieczne. Ale zdarzają się chwile, pojedyncze wyjątkowe chwile, kiedy robi się w nich całkiem ciekawie. To właśnie jedna z nich.

– *But you'll have to answer to. O-oh, the guns of Brixton.*

Nie jestem sam. Z tyłu Piotrek i Damian nucą słowa refrenu. Na fotelu obok mnie przysypia Bartek z kapturem naciągniętym na oczy. Nie prosiłem ich, żeby jechali ze mną, nie potrzebowałem towarzystwa, ale się uparli.

– Boisz się, Sokół?

W lusterku wstecznym łapię zaciekawione spojrzenie Piotrka. No tak, to w pewien sposób oczywiste, że zapytał o to, z czym sam walczy. Miesiąc temu, wspinając się w Tatrach, oberwał w głowę ukruszonym kawałkiem skały. Nie stracił od razu przytomności i przez moment był przekonany, że umiera. Od tamtej pory inaczej postrzega świat, a pod swoimi tatuażami starannie skrywa cienką warstwę strachu.

– Czego miałbym się bać? – pytam.

– Nie wiem. Aresztu? Zamknięcia w psychiatryku?
Wymieniać dalej?

– To tylko możliwości.

– To są te lepsze możliwości. Damian, co jeszcze grozi Sokołowi?

– Kodeks wykroczeń. Artykuł sześćdziesiąty szósty, paragraf pierwszy. – Damian recytuje beznamietnym głosem. – Kto ze złośliwości lub swawoli, chcąc wywołać niepotrzebną czynność...

– No i po co rzucałeś studia? – przerywa mu Piotrek. – Teraz przydałby nam się prawnik.

Damian uśmiecha się kątem ust. Jeszcze niedawno miał bardzo poukładane życie. Był jednym z najlepszych studentów na roku, dostawał stypendium, po aplikacji czekała na niego ciepła posadka w kancelarii ojca. Ale pewnego dnia rzucił wszystko, bo – jak mi powiedział – chciał, żeby życie wreszcie czymś go zaskoczyło.

– Ale wiesz w ogóle, co to strach, tak? – Piotrek otwiera okno, wpuszczając trochę zanieczyszczonego powietrza do samochodu. – Znasz to uczucie, Sokół? Pamiętasz, kiedy ostatnio się czegoś bałeś?

Nigdy tego nie zapomnę. Miałem dwanaście lat. W ciszy spokojnego letniego popołudnia usłyszałem najpierw dzwonek telefonu, a potem rozdierający krzyk matki. Wtedy właśnie zrozumiałem, co znaczy prawdziwy strach. Ścisnąłem poręcz schodów i trząsałem się jak epileptyk, nie mogłem oddychać, nie

potrafiłem wydusić z siebie słowa. Dziś mija dokładnie dziesięć lat od tamtego dnia.

– Nie, nie pamiętam – mówię.

– Ej, jest szósta rano. Nie za wcześnie na takie egzystencjalne pierdolenie? – mruczy Bartek spod kaptura.

Chyba jeszcze nie do końca się obudził po wczorajszym. Bartek celebrytuje życie. Lubi spotykać się z ludźmi i ostro imprezować. Ja też to lubiłem, ale w przeciwieństwie do niego nie znałem umiaru. Kiedyś niszczenie samego siebie wydawało mi się oczywistym rozwiązaniem, jedyną drogą do wolności. Teraz widzę, że dróg jest znacznie więcej, można je odnaleźć, wystarczy odrobina wysiłku i determinacji.

– A jeśli naprawdę cię zamkną? – pyta Damian.

– Wszystko ma swoją cenę. – Wzruszam ramionami.

Wjeżdżam na Wystawową i parkuję auto pod dawną Wytwórnią Filmów Fabularnych. Kilka lat temu to było miejsce najlepszych koncertów we Wrocławiu. Wiele razy piłem w pobliskim parku, a później zlany potem szarpałem się w pogo pod sceną.

Ale te czasy już minęły.

Teraz przerobili to miejsce na Centrum Technologii Audiowizualnych i podobno naprawdę kręcą tam filmy.

Wyłączam radio. W samochodzie zapada cisza. Wszyscy bez słowa gapimy się na Iglicę. Strzelista

stalowa konstrukcja na szerokiej podstawie przypomina mniejszą wersję wieży Eiffla. Stoi na środku długiego placu, za nią widać kopułę Hali Stulecia.

– Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? – Bartek przeciera twarz dłonią, pozbywając się resztek senności.

– Inaczej by mnie tu nie było.

Mam na sobie dres, sportową czarną kurtkę, trampki. Do tego worek z magnezją przypięty do pasa. Wyglądam, jakbym szedł na zwykły trening, i w pewnym sensie tak właśnie jest.

Wszyscy na mnie patrzą, wyczuwam napięcie. Najwyraźniej czekają, aż coś powiem. Jakieś znaczące ostatnie słowa.

– Pamiętajcie, żeby dać mi znać, co się dzieje – przypominam. – Do zobaczenia.

Bartek wyciąga zaciśniętą dłoń, zderzamy się pięściami. Potem powtarzam ten gest z każdym z nich. Nie lubię być uzależniony od czegokolwiek ani kogośkolwiek, ale dla nich robię wyjątek, bo to najlepsi ludzie, jakich znam.

– Trzymaj się, Sokół – mówi Bartek.

„Trzymaj się” w kontekście tego, co chcę zrobić, to bardzo dobra rada.

Wysiadam z samochodu i ruszam w stronę Iglicy. Z każdym krokiem rośnie w moich oczach, przysłaniając wszystko inne. Na całej wysokości wieży widzę stalowe żebra – zwężające się ku górze stopnie, na których można przystanąć. To ważne. Przedemną

dziewięćdziesiąt metrów wspinaczki, przyda się chwila odpoczynku. No i jeszcze jedno: nie zabrałem ze sobą żadnego sprzętu do asekuracji. Karabinki i taśmy zostały w domu zamknięte w szafie.

Jest ryzyko, jest zabawa.

Albo piargi, albo sława.

Dotykam śruby mocującej konstrukcję do podłoża.

„Cześć” – myślę.

Wdrapuję się po niej szybko i wchodzę na stalową nogę wieży. Dłonie mocno trzymają ostre krawędzie, guma na podeszwach butów piszczy w zetknięciu z gładką powierzchnią.

Ludzie zawsze pytają, dlaczego to robię.

„Dlaczego, dlaczego, dlaczego?”

Odpowiadam zawsze tak samo.

Jeśli musisz pytać, nie jesteś gotowy, żeby zrozumieć odpowiedź.

* * *

Ten dźwięk. Przeciągłe wycie syren alarmowych oznaczające kłopoty. Właśnie w ten sposób przypomina o sobie świat. Wyjąc. W kieszeni kurtki wibruje telefon. Krótki pojedynczy sygnał. Bartek daje mi znać. Wiem już, że na dole coś się dzieje, ale w tej chwili mam ważniejszą sprawę. Dłonie pieką, mięśnie ramion sztywnieją zmęczone długą pracą. Staję na wąskim

stalowym żebrze na wysokości pięćdziesięciu metrów i czuję, jak Iglica odchyła się lekko pod naporem wiatru. Wystarczy jeden nieostrożny ruch, żebym stracił równowagę. Oddycham szybko, po czole spływa kropla potu.

Co On by mi teraz powiedział?

Pewnie to, co zawsze. „Zachowaj zimną krew, Mikołaj, nie ulegaj emocjom”.

Wiatr wieje mocniej. Z dołu dobiega wycie syren. Zamykam oczy, wyrównuję oddech.

Spokój. Wszystko może zniknąć w ułamku sekundy, dlatego nic nie ma znaczenia. Poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji to iluzja. Zrozumiałem to w wieku dwunastu lat, stojąc na schodach i słuchając rozpaczliwych krzyków matki. Wtedy w mojej głowie nastąpiło zwarcie, przepalenie obwodów. Od tamtej pory nie boję się niczego. Strach nie ma sensu, skoro najgorsze już się wydarzyło. A więc skupienie. Pełen spokój.

Otwieram oczy, wracam na krawędź i znów zaczynam się wspinać. Syreny wciąż wyją.

* * *

Siedemdziesiąt metrów.

Sprawdzam esemes od Bartka.

Są już cztery wozy strażackie i suka. Złaź, robi się grubo.

Chowam telefon do kieszeni. Do wierzchołka Iglicy zostało tylko dwadzieścia metrów.

Ale wycie syren nie ustaje. Nie znoszę tego dźwięku, rozprasza mnie, tracę przez niego koncentrację.

Wszystkie pomysły skądś się biorą. Ten powstał z nudy. Są dni, kiedy po prostu wiesz, że musisz coś zrobić, bo inaczej eksplodujesz. Chociaż psychiatra, którego kiedyś wyznaczył mi sąd w pakiecie z nadzorem kuratora, miałby inny pogląd na tę sprawę. On szukałby przyczyn w tamtym zdarzeniu sprzed dziesięciu lat. Nieważne. Nigdy nie lubiłem tego pajaca tak niezbitcie przekonanego o własnej nieomyślności.

Syreny. Wciąż. Wyją.

Ktoś z przechodniów musiał mnie zauważyć. Zadzwonił na policję i opowiedział o świrze wspinającym się na Iglicę. Ten ktoś pewnie obserwuje teraz całą akcję, zaciera ręce i napawa się zamieszaniem, jakie wywołał. Nie mam do niego pretensji, chociaż zepsuł mój plan. W końcu każdy z nas chce coś przeżyć, nawet jeśli przypadnie mu tylko rola świadka.

* * *

Schodzenie nigdy nie daje tych samych emocji co wspinaczka. Zapieram się stopami o gładką powierzchnię i metr po metrze zeskakuję w dół. Szybko, mechanicznie, bezmyślnie. Adrenalina schodzi ze mnie jak resztki narkotyku – to złe, paskudne

uczucie. Im jestem niżej, tym bardziej serce zwalnia, a z ciała ulatuje energia. Na jej miejscu wkrótce pojawi się pustka, której nie wypełni absolutnie nic. Żadne słowa, żadne gesty. Żadna dziewczyna i żadna chemia.

Kiedy zeskakuję na szerokie zebro na wysokości pięciu metrów, widzę wreszcie twarze mundurowych. Kiwam głową kilku strażakom stojącym u podstawy Iglicy. Szanuję ich. To odważni ludzie, którzy jako jedni z nielicznych wykonują sensowną, wartościową pracę. Szkoda, że dziś zmarnowałem ich czas. Oprócz nich jest jeszcze trzech policjantów. Krążą wokół Iglicy jak sępy. Są niewyspani i wściekli, zapewne w myślach życzą mi bolesnego upadku. Pewnego razu ich koledzy po fachu zrobili nalot na squat, na którym wtedy mieszkałem. Wykopali drzwi, wywlekli mnie i innych za fraki i rzucili na beton. Nie wiem, czego szukali, ale pamiętam uderzenia i kopnięcia. Nie miałem nawet osiemnastu lat.

– Co słychać? – pytam najbliższego policjanta, młodego blondyna z wąsem.

– Proponujemy, żeby pan spokojnie zszedł i nie uciekał – odpowiada sztucznie przyjaznym tonem.

Uśmiecham się. To bardzo miła propozycja. Oczywiście zapomniał dodać, że zaraz po zejściu mnie skują, wrzucą do radiowozu i zawiozą na komisariat, a tam już zrobią ze mną, co będą chcieli. Nie zamierzam im tego ułatwiać.

– To może wy chodźcie do mnie – proponuję. – To nie takie trudne. Może wam się udać, jeśli się postaracie.

– Śmiesz cię to? – warczy ten sam gliniarz, który najwyraźniej już nie chce być moim przyjacielem. – Zobaczymy, jak ci będzie wesoło, kiedy zejdziesz. A my się nigdzie nie wybieramy.

– Ale ja tak.

I zanim zdąży coś odpowiedzieć, zanim ktokolwiek z nich zrobi chociaż krok, zeskakuję na ziemię i zaczynam biec.

ROZDZIAŁ 1

Nina

Kod. Jaki może być kod? Potrzebuję kodu do tej pieprzonej bramy. Typowe. Planując dzisiejszy wieczór, uwzględniłam dziesiątki możliwych przeszkód i okoliczności, ale nie pomyślałam o domofonie.

Zadzieram głowę, obserwuję okna kamienicy. Tylko w kilku widać światło, reszta jest ciemna. Z zewnątrz nic na to nie wskazuje, ale w tym starym budynku dzieje się dziś coś bardzo ważnego. Coś, w czym muszę wziąć udział.

Naciągam kaptur. Deszcz z każdą chwilą pada coraz mocniej. Naciskam jedynekę, ale odpowiada mi tylko cisza. Wybieram kolejny numer. To duża kamienica, piętnaście mieszkań, w końcu ktoś mnie wpuści. Albo wróci ze spaceru i otworzy bramę, a wtedy wejdę za nim.

Ale mijają kolejne minuty i nic. Nikt nie przychodzi, domofon milczy. Starszy facet spacerujący z psem

Wychowana w domu dziecka Nina wie, że ma niewiele do stracenia. Wynajmuje pokój w niebezpiecznej dzielnicy Wrocławia, żyje samotnie i ledwo wiąże koniec z końcem. Jedyłą odskocznią jest dla niej ścianka wspinaczkowa oraz upragnione wyjazdy w wysokie góry. Dziewczyna postanawia dołączyć do klubu wspinaczkowego, co niespodziewanie okazuje się prawdziwą próbą charakteru.

Mikołaj od zawsze chciał zostać himalaistą tak jak jego ojciec. Gdy góry odebrały mu go na zawsze, przeżył załamanie i stoczył się na dno. Miłość do wspinaczki okazała się jednak silniejsza. Chłopak nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. I nie wybaczył człowiekowi, który zostawił jego ojca w górach na pewną śmierć.

Wspinaczka jest całym światem Niny i Mikołaja oraz jedyną szansą na ocalenie przed dręczącymi ich demonami. Czy życie na krawędzi przyniesie im ukojenie i pozwoli raz na zawsze rozliczyć się z trudną przeszłością?

cena 47,90 zł

FILIA

ISBN 978-83-8402-329-7



9 788384 023297